



Juliusz Verne

Druga ojczyzna
(Część pierwsza)

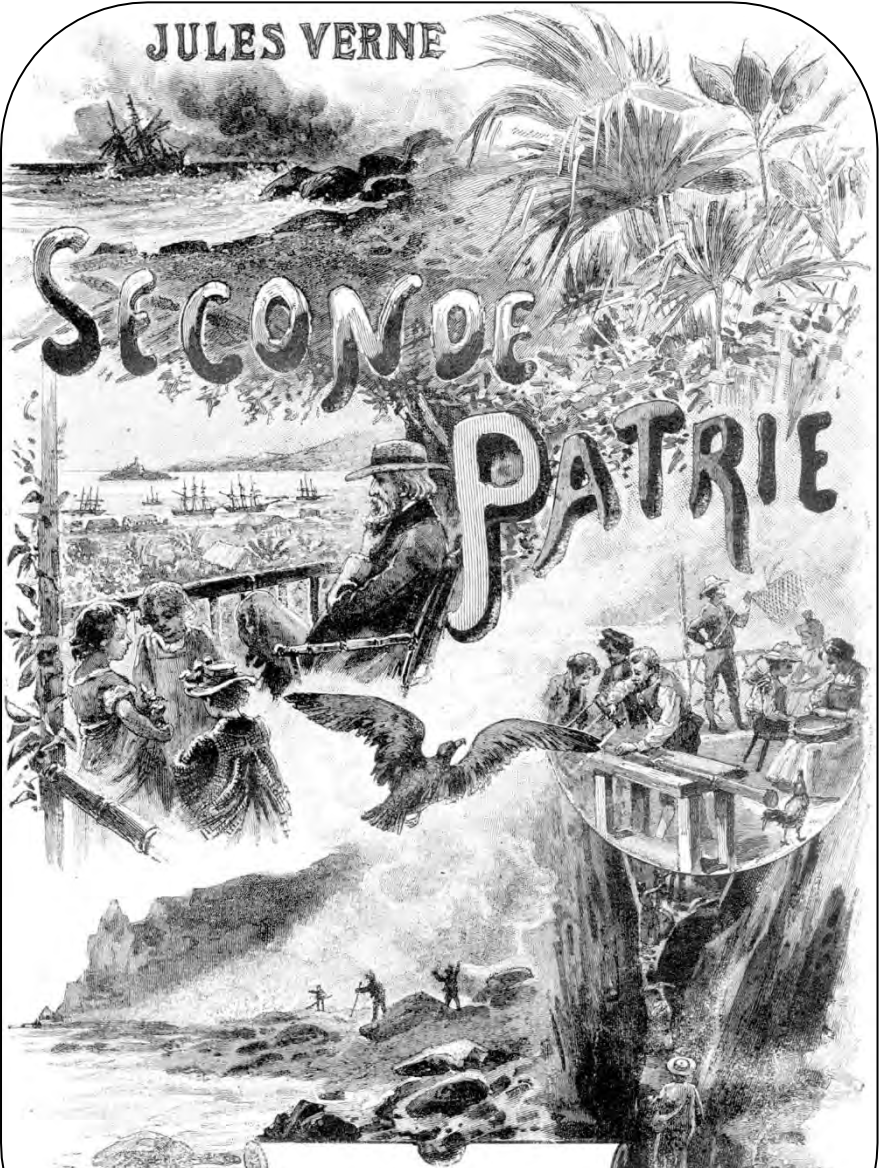


ISBN 978-83-66980-68-6 (całość)

ISBN 978-83-66980-69-3 (cz. 1)

JULES VERNE

SECONDE PATRIE



J. HETZEL, Éditeur

18, rue Jacob, 18

PARIS

Juliusz Verne

DRUGA OJCZYZNA

Juliusz Verne



DRUGA OJCZYZNA

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Sto czternasta publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Seconde Patrie

© Copyright for the Polish translation
by Andrzej Zydorczak, 2023

75 ilustracji, w tym 12 kart tablicowych kolorowych i 1 mapka:
George Roux; (zaczepnięte z XIX-wiecznego
wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2023

ISBN 978-83-66980-68-6 (całość)
ISBN 978-83-66980-69-3 (cz. 1)

Wstęp

Powiedzieć o Vernie, że lubił robinsonady, to, używając Pilchowskiej frazy, nic nie powiedzieć. O jego zamiłowaniu do opowieści o rozbitkach na bezludnych wyspach świadczą takie utwory, jak „Tajemnicza wyspa”, „Dwa lata wakacji”, „Wujek Robinson”, „Szkoła Robinsonów”, a pośrednio też „Dzieci kapitana Granta”, czy wreszcie w jakiejś mierze „Chancellor”, „W Magellanii” (w szerzej znanej wersji zmienionej przez Michela Verne’a: „Rozbitkowie z «Jonathana»”) i „Latarnia na Krańcu Świata”. Nie musimy się zresztą tego domyślać, bowiem w przedmowie do „Drugiej ojczyzny”, zamieszczonej w tym tomie, pisarz sam o tym wspomina. Wskazuje też na inspirację „Robinsonem szwajcarskim”, podając zresztą błędnie, że autorem tej książki był Johann Rudolf Wyss (1782-1830), gdy tymczasem napisał ją jego ojciec Johann Dawid Wyss (1743-1818), a wspomniany syn tegoż jedynie ją zredagował i wydał (w 1812 r.).

„Druga ojczyzna” jest kontynuacją utworu Wyssa. Czarodziej z Nantes postanowił ją napisać tak ze względu na własne fascynacje, jak i pod wpływem usilnych prośb czytelników. W powieści tej po raz kolejny dał wyraz pragnieniu, by, jak to trafnie ujął Roland Barthes, „zamknąć się i urządzić”. Przy czym warto zauważyć, że nie taka idea była fundamentem „Przypadków Robinsona Crusoe” (1719 r.) Daniela Defoe (1660-1731), na których wzorował się Wyss, a także licznych wariacji na temat tego archetypicznego dzieła. Oświeceniowym autorom i ich XIX-wiecznym naśladowcom chodziło głównie o kreowanie i popularyzowanie wzorców protestanckiej etyki społecznej, opartej na pracy, zaradności, dyscyplinie i moralności. U Verne’a mamy natomiast do czynienia przede wszystkim z motywowaną psychologicznie potrzebą izolacji i opanowywania chaosu otaczającej rzeczywistości, w dalszej perspektywie zaś z pragnieniem zaprowadzania utopijnego nowego ładu i budowania lepszego świata, czego najpełniejszy wyraz znajdujemy w „Tajemniczej wyspie”. Oczywiście walorów

pedagogicznych jego robinsonadom również nie można odmówić – pryncypialny dydaktyzm stanowi przecież oś „Dwóch lat wakacji”.

Powieść Verne’a o dalszych przygodach szwajcarskiego karczodziela i jego rodziny publikowana była w odcinkach na łamach „Magasin d’Éducation et Récréation” (od początku stycznia do połowy grudnia 1900 r.). W formie książkowej ukazała się w tym samym roku – w lipcu do księgarń trafił pierwszy tom, a w listopadzie drugi. W tym czasie też wyszły oba tomy w podwójnym, ozdobnym woluminie, z ilustracjami George’a Roux.

Polscy czytelnicy mogli poznać tę powieść niemal równocześnie z francuskimi. Publikowana była w 1901 r. w odcinkach w tygodniku „Ziarno”, w tłumaczeniu Heleny S. (nazwiska owej osoby nie znamy). Jako książka ukazała się dopiero w 2017 r., nakładem Hachette Polska. Wydawnictwo to sięgnęło po wspomniane wyżej spolszczenie, mocno okrojone w stosunku do oryginału, nieco je jedynie modernizując. Obecny przekład Andrzeja Zydorcza jest więc pierwszą pełną wersją tego utworu w obszarze naszego języka.

dr Krzysztof Czubaszek
prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a

Przedmowa

Dlaczego napisałem *Drugą ojczyznę*

Opowieści o Robinsonach były książkami mojego dzieciństwa i zachowałem o nich niezatarte wspomnienie. Częste ich czytanie mogło tylko wzmocnić je w moim umyśle. Później nigdy nie odnalazłem tych wrażeń z lat dziecięcych w innych współczesnych lekturach. Nie ulega wątpliwości, że moje zamiłowanie do tego rodzaju przygód instynktownie skierowało mnie na drogę, którą miałem kiedyś podążać. To właśnie skłoniło mnie do napisania *Szkoły Robinsonów*, *Tajemniczej wyspy*, *Dwóch lat wakacji*, których bohaterowie są blisko spokrewnieni z bohaterami Defoe i Wyssa. Niech więc nikogo nie zdziwi, że całkowicie poświęciłem się temu dziełu, jakim są „Niezwyczajne Podróże”.

Wracając do mojej pamięci tytuły dzieł, które tak chętnie czytałem: *Dwunastoletni Robinson* autorstwa pani Mollar de Beaulieu, *Robinson piasków pustyni* autorstwa pani de Mirval. W tym samym duchu były *Przygody Roberta-Roberta* Louisa Desnoyera, publikowane w „Journal des Enfants”, a także wiele innych powieści, o których nie mogę zapomnieć. Potem przyszedł *Robinson Crusoe*, to arcydzieło, które jest jednak tylko jednym z epizodów długiej i nużącej opowieści Daniela Defoe. Wreszcie *Krater* Fenimore’a Coopera mógł tylko zwiększyć moją namiętność do tych bohaterów nieznanych wysp Atlantyku czy Pacyfiku.

Jednak genialna wyobraźnia Daniela Defoe stworzyła tylko samotnego człowieka porzuconego na bezludnej ziemi, zdolnego do samowystarczalności dzięki swojej inteligencji, pomysłowości, wiedzy, a także dzięki wytrwałemu zaufaniu do Boga, które niekiedy inspirowało jakąś wspaniałą inwokację.

Otóż czy po odizolowanej w tych warunkach istocie ludzkiej nie powinna powstać rodzina, rodzina wyrzucona na brzeg po rozbiciu statku, rodzina ściśle zjednoczona, rodzina, która nie traci nadziei w Opatrzność? Tak, i takie było dzieło Wyssa, nie mniej nieprzemijające niż to Daniela Defoe.

Rudolf Wyss, urodzony w Bernie w 1781 roku, zmarły w 1830, był profesorem uniwersytetu. Napisał kilka utworów o swojej ojczyźnie, niezależnie od *Robinsona szwajcarskiego*, który ukazał się w Zurychu w roku 1812¹.

W następnym roku ukazało się pierwsze tłumaczenie na język francuski. Stało się to za sprawą pani Isabelle de Bottens baronowej de Montolieu, urodzonej w Lozannie w 1751 roku, zmarłej w Bussigny w 1832, która debiutowała literacko dwutomową powieścią *Caroline de Lichsfield* (1781).

Być może istnieją powody, by wierzyć, że Rudolf Wyss nie był jedynym autorem słynnej powieści, która powstała we współpracy z jego synem². To właśnie im obu zresztą pani de Montolieu zadedykowała kontynuację tej powieści, wydaną w Paryżu w 1824 roku pod tytułem: *Robinson szwajcarski czyli dziennik ojca rodziny rozbitków, wraz z jego dziećmi*.

W ten sposób tłumaczka wpadła na pomysł kontynuowania dzieła, które przetłumaczyła, a ja zostałem przez nią i zapewne przez innych wyprzedzony i nie dziwię się, że myśl o tym pojawiła się u wielu autorów.

Rzeczywiście, powieść nie kończy się wraz z przybyciem korwety „Licorne”³, a oto, co powiedziała już pani de Montolieu w przedmowie do swojego przekładu:

Cztery kolejne edycje udowodniły, jak bardzo francuska publiczność doceniła tę książkę, która zachwyca dzieci, a przeto też ich rodziców. Brakowało im jednak kontynuacji i zakończenia. Wszyscy chcieli wiedzieć, czy ta rodzina, która ich zainteresowała, pozostała na wyspie, na którą chcieliby pojechać wszyscy młodzi chłopcy. Otrzymałam nieskończoną liczbę listów na ten temat, zarówno od samych dzieci, jak i od mojego księgarza, proszących o wydanie tej kontynuacji i zaspokojenie ich ciekawości.

¹ J. Verne wymienia tu jako autora Johanna Rudolfa Wyssa, który tylko zredagował i wydał dzieło swego ojca Johanna Davida Wyssa (1743-1818), pastora katedry w Bernie, który właściwie napisał tę książkę dla swoich dzieci.

² *Synem* – powinno być: ojcem.

³ *Licorne* (fr.) – Jednorożec.

Należy zaznaczyć, że po pani de Montolieu powstały inne przekłady dzieła Rudolfa Wyssa, m.in. Pierre'a Blancharda w 1837 roku. Wynika stąd, że jeśli pani de Montolieu nie była osamotniona w tłumaczeniu *Robinsona szwajcarskiego*, to nie była też sama w kontynuacji tego przekładu, skoro postarałem się to uczynić pod tytułem *Druga ojczyzna*.

Ponadto w 1864 roku Hetzel opublikował nowy przekład tej historii dzięki pomocy P.-J. Stahla¹ i E. Mullera, którzy dokonali jej korekty i nadali jej bardziej nowoczesny układ i styl. Ściśle rzecz biorąc, to właśnie tego wydania, również poprawionego z naukowego punktu widzenia, następcą jest *Druga ojczyzna*, oferowana czytelnikom „Magasin d'Éducation et de Récréation”.

I czyż nie było interesujące przedłużenie historii Rudolfa Wyssa, odnalezienie tej rodziny w nowych warunkach, jakie im stworzono, i tych czterech chłopców, tak dobrze przystosowanych do życia, przedsiębiorczych i odważnych: Fritza, Ernesta², trochę egoistycznego, ale pilnego, figlarza Jacka i małego François³, obserwowanie zmian, jakie czas dokonał w ich charakterach po dwunastu latach spędzonych na tej wyspie...? Czy po odkryciu Dymiącej Skały wprowadzenie Jenny Montrose do tego małego świata nie miało zmodyfikować ich egzystencji...? Czy przybycie pana Wolstona i jego bliskich na pokładzie „Licorne'a” oraz ich osiedlenie się na wyspie nie narzucało kontynuacji tej historii...? Czy nie było konieczne, aby przejść przez całą tę szczęśliwą wyspę, której tylko północna część była znana...? Czy wyjazd Fritza, François i Jenny Montrose do Europy nie spowodował, że konieczne było opowiedzenie ich przygód aż do powrotu do Nowej Szwajcarii...?

Nie mogłem więc oprzeć się pragnieniu kontynuowania dzieła Wyssa, by dać mu ostateczne zakończenie, które zresztą kiedyś sobie wyobrażałem.

Właśnie wtedy, dzięki myśleniu o tym, dzięki zagłębieniu się w mój projekt, dzięki życiu ramię w ramię z moimi bohaterami, zdarzył się

¹ *P.-J. Stahl* – pseudonim literacki Pierre'a-Julesa Hetzela (1814-1886), wydawcy J. Verne'a, pod którym opublikował on kilka książek dla dzieci i młodzieży.

² *Ernest* – w oryginale niemieckim Ernst.

³ *François* – w oryginale niemieckim Franz.

fenomen: uwierzyłem, że ta Nowa Szwajcaria naprawdę istnieje, że jest to wyspa leżąca na północnym wschodzie Oceanu Indyjskiego, której położenie w końcu zobaczyłem na mojej mapie, że rodziny Zermattów i Wolstonów nie są zmyślane, że żyją w tej bardzo dobrze prosperującej kolonii, którą uczynili swoją „drugą ojczyzną”...! Obecnie żałuję tylko jednego, że wiek nie pozwala mi do nich dołączyć...!

Tak więc dlatego uznałem za konieczne kontynuowanie ich historii do końca, dlatego stworzyłem dalszy ciąg *Robinsona szwajcarskiego*.

Jules Verne



CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

Powrót ciepłej pory roku – Fritz i Jack – Piękna pogoda – Wypłynięcie kajakiem – Wizyta na Wysepce Rekina – Ogień z dwóch armat – Trzy wystrzały armatnie na otwartym morzu

Ciepła pora roku nadeszła w drugim tygodniu października. Ten miesiąc jest początkiem wiosny na półkuli południowej. Na tej szerokości geograficznej, na dziewiętnastym stopniu, między równikiem a zwrotnikiem Koziorożca, zima nie była zbyt sroga. Gospodarze Nowej Szwajcarii mogli wznowić swoje zwykłe prace.

Po jedenastu latach spędzonych na tej ziemi nie było zbyt wcześnie, aby próbować rozpoznać, czy należy ona do jednego z kontynentów oblewanych przez Ocean Indyjski, czy też geografowie powinni ją zaliczyć do wysp tych stron.

Bez wątpienia, odkąd młoda Angielka została zabrana przez Fritza z Dymiącej Skały, pan Zermatt¹, jego żona, czterech synów i Jenny Montrose byli tak szczęśliwi, jak to tylko było możliwe. To prawda, że czasami odczuwano lęk przed przyszłością i brak nadziei na ocalenie mogące przyjść z zewnątrz, wspomnienie o kraju, potrzebę powrotu do kontaktu z ludzkością, a czyż nie jest to prawo natury, które narzuca się każdej ludzkiej istocie...?

Tak więc tego dnia wczesnym rankiem pan Zermatt, przeszedłszy przez zagrodę Felsenheimu², przechadzał się wzdłuż brzegu Potoku Szakali. Wyprzedzili go tam Fritz i Jack ze swoim sprzętem węd-

¹ *Zermatt* – w oryginale powieści Wyssa ani razu nie pada nazwisko bohaterów i różni tłumacze je wprowadzali; J. Verne nadał tej rodzinie nazwisko od miejscowości Zermatt w Szwajcarii, w kantonie Valais, położonej w górnej części doliny Mattertal w Alpach Pennińskich, na wysokości 1616 m n.p.m., u podnóża najwyższych szczytów Alp poza masywem Mont Blanc.

² *Felsenheim* (niem.) – Skalny Dom.

karskim. Wkrótce dołączył do nich także François. Co do Ernesta, który zawsze późno wstawał i nie stronił od dłuższego przebywania w pościeli, to jeszcze nie opuścił łóżka.

Pani Zermatt i Jenny zajmowały się w tym czasie jakimiś sprawami w domu.

– Ojciec – powiedział Jack – przed nami piękny dzień...

– Myślę, że tak, moje dziecko – odparł pan Zermatt. – Mam nadzieję, że w ślad za nim pójdzie wiele innych, które będą nie mniej piękne, skoro mamy początek wiosny.

– A co ty zamierzasz robić dzisiaj...? – dopytywał się François.

– Będziemy łowić ryby – odpowiedział Fritz, pokazując swoją siatkę i wędki.

– W zatoce...? – zapytał pan Zermatt.

– Nie – odpowiedział Fritz. – Jeśli pójdziemy w górę Potoku Szakali aż do tamy, złowimy więcej ryb niż potrzeba na śniadanie.

– A potem...? – dodał Jack, zwracając się do ojca.

– Potem, mój synu – odparł pan Zermatt – nie zabraknie nam roboty. Na przykład po południu zamierzam pojechać do Falkenhorst¹, aby sprawdzić, czy nasze letnie mieszkanie nie wymaga napraw. Poza tym, korzystając z pierwszych pięknych dni, odwiedzimy nasze inne folwarki: Waldegg², Zuckertop³, ustronie Eberfurt⁴, willę Prospect Hill⁵... Do tego dochodzi jeszcze opieka nad zwierzętami, pielęgnacja plantacji...

– To zrozumiałe, ojciec – odpowiedział Fritz. – Ale skoro mamy dziś rano godzinę lub dwie, chodź, Jack, chodź, François...

– Jesteśmy gotowi! – zawołał Jack. – Już czuję na końcu mojej wędki jakiegoś pięknego pstrąga... Hopla...! hopla!

Jack wykonał gest złowienia wyimaginowanej ryby na haczyk, a na koniec z jego ust wydobyły się wyraźnym i radosnym głosem te słowa: „W drogę!”.

¹ *Falkenhorst* (niem.) – Sokole Gniazdo.

² *Waldegg* (niem.) – dosłownie: Mleczarnia.

³ *Zuckertop* (niem.) – Cukrowy Szczyt.

⁴ *Eberfurt* (niem.) – Dzikowy Bród.

⁵ *Prospect Hill* (ang.) – Wzgórze Oczekiwania.

Być może François wolałby pozostać w Felsenheimie, gdzie najczęściej spędzał poranki na nauce. Brat jednak tak bardzo go namawiał, że postanowił pójść z nim.

Trzej młodzi mężczyźni zmierzali w kierunku prawego brzegu Potoku Szakali, kiedy zatrzymał ich pan Zermatt.

– Wasze pragnienie łowienia ryb, moje dzieci – powiedział – sprawiło, że zapomnieliście...

– O czym...? – zapytał Jack.

– To, co mamy w zwyczaju robić każdego roku od pierwszych dni wiosny...

Fritz wrócił do ojca i drapiąc się po czole, zapytał:

– Co to może być...?

– Jak to... nie pamiętasz, Fritz... ani ty, Jack...? – rzekł pan Zermatt.

– Czy to znaczy, że nie uściskaliśmy cię na cześć wiosny? – zapytał Jack.

– Nie – odparł Ernest, który właśnie wyszedł z zagrody, przecierając oczy i rozprostowując kończyny.

– Chyba chodzi o to, że wychodzimy bez śniadania, prawda, mój łakomczuchu Erneście? – stwierdził Jack.

Była to aluzja do niewielkiego grzechu jego brata, który przede wszystkim troszczył się o jedzenie i był wielkim amatorem smakołyków.

– Nie, to nie to – odpowiedział Ernest. – Ojciec pragnie wam tylko przypomnieć, że co roku o tej porze jest zwyczaj strzelania z dwóch dział baterii na Wysepce Rekina...

– Właśnie tak – potwierdził pan Zermatt.

Faktycznie było tak, że jednego dnia w drugiej połowie października, gdy skończyła się pora deszczowa, Fritz i Jack szli na wysepkę położoną u wejścia do Zatoki Ocalenia, wciągali na maszt flagę Nowej Szwajcarii i oddawali jej salut dwoma wystrzałami armatnimi, które było słychać dość wyraźnie w Felsenheimie. Następnie, bez większej nadziei, raczej mechanicznie, przemierzali spojrzeniami morze i wybrzeże... Być może jakiś statek przepływający w tych stronach usłyszysz dwie detonacje...? Być może nie minie wiele czasu, a pojawi

się na wysokości zatoki...? Być może nawet rozbitkowie zostali rzu-
ceni w jakiś punkt tego łądu, który jak sądzono, jest niezamieszka-
ny, a te wystrzały artyleryjskie dadzą im sygnał do alarmu...?

– To prawda – powiedział Fritz – zapomnieliśmy o naszym obo-
wiązku... Idź i przygotuj kajak, Jack, a za godzinę będziemy z po-
wrotem.

Ale wtedy odezwał się Ernest:

– Jaki jest pożytek z tych artyleryjskich huków...? Od wielu lat
strzelamy ze wszystkich naszych dział, a pożytek jest niewielki, poza
tym, że mącą echa w Falkenhorście i Felsenheimie...! Po co na próż-
no marnować proch...?

– Znam cię wystarczająco dobrze, Ernest...! – zawołał Jack. – Jeśli
wystrzał z armaty tyle kosztuje, to musi tyle przynosić... albo nie na-
leży strzelać!

– Nie masz racji, mówiąc w ten sposób – powiedział pan Zermatt
do swojego drugiego syna – i nie sądzę, aby ten wydatek był bezce-
lowy... Wywieszenie flagi na Wysepce Rekina nie wystarczy, ponie-
waż nie byłaby widoczna z otwartego morza... gdy tymczasem nasze
strzały armatnie są słyszalne z odległości dobrej ligi¹... Byłoby nie-
rozsądne zaniedbać tę możliwość zasygnalizowania naszej obecno-
ści jakimś przepływającym statkowi...

– Wtedy byłby powód by strzelać każdego ranka i każdego wie-
czora... – zauważył Ernest.

– Pewnie... jak w marynarce wojennej... – stwierdził Jack.

– W marynarkach wojennych nie ma niebezpieczeństwa, że za-
braknie amunicji – zauważył Ernest, który nie lubił się poddawać,
będąc zdecydowanie najbardziej upartym z czterech braci.

– Nie martw się, synu, w najbliższym czasie nie zabraknie nam
prochu – powiedział pan Zermatt. – Dwa razy do roku, przed i po zi-
mie, dwa wystrzały z armaty to niewielki ubytek. Myślę, że nie po-
winniśmy rezygnować z tego zwyczaju...

¹ *Liga* – francuska miara długości (*lieue*), po wprowadzeniu systemu metrycznego
uznana za równą 4 km, także angielska (*land league*), równa 3 milom (4828 m),
pierwotnie odległość pokonywana pieszo przez godzinę.



François i jeho matka

– Nasz ojciec ma rację – odezwał się Jack. – Jeśli echa w Felsenheimie i w Falkenhorście nie są zadowolone, że zakłóca się ich sen, no cóż! Ernest przedstawi im piękne przeprosiny wierszem, a one będą zachwycone... Chodź, Fritz.

– Przedtem – rzekł François – musimy zawiadomić naszą matkę...

– A także naszą drogą Jenny... – dodał Fritz.

– Zatrąszczę się o to – odparł pan Zermatt – bo te detonacje mogą wywołać u nich pewne zaskoczenie, a nawet skłonić je do wyobrażenia sobie, że do Zatoki Ocalenia wpływa statek...

W tym momencie pani Zermatt i Jenny Montrose, które wychodziły z galerii, zatrzymały się przed bramą zagrody.

Fritz najpierw pocałował matkę, a potem wyciągnął rękę do dziewczyny, która się do niego uśmiechnęła. Gdy zobaczyła Jacka idącego w stronę zatoczki, gdzie zakotwiczone były szalupa i pinasa¹, powiedziała:

– Czy dziś rano wyruszasz w morze...?

– Tak, Jenny – odparł Jack, wracając się. – Fritz i ja przygotowujemy się do wielkiej podróży...

– Wielkiej podróży...? – powtórzyła pani Zermatt, którą zawsze martwiły takie nieobecności, niezależnie od tego, jakie miała zaufanie do zręczności swoich synów w manewrowaniu kajakiem.

– Nie martw się, moja droga Betsie, i ty też, Jenny – powiedział pan Zermatt. – Jack żartuje... Chodzi tylko o udanie się na Wysepkę Rekina, by oddać dwa regulaminowe wystrzały pod zatkniętą flagą, i powrót po sprawdzeniu, czy wszystko jest w porządku.

– Rozumiem – odparła Jenny – i podczas gdy Fritz z Jackiem popłyną na wysepkę, Ernest, François i ja pójdziemy rzucić nasze wędkę, pod warunkiem, że pani Betsie nie będzie mnie potrzebować...

– Nie, moja droga – powiedziała pani Zermatt. – Ja tymczasem przygotowuję wszystko do następnego prania.

¹ *Pinasa* (pinka) – łódź pokładowa okrętów wojennych; dawniej wiosłowo-żaglowa, współcześnie z napędem mechanicznym; także mały statek lub okręt wojenny z napędem żaglowym i wiosłowym (XVI-XVIII wiek).

Po zejściu do ujścia Potoku Szakali, gdzie Jack przyprowadził kajak, wsiedli do niego z Fritzem. Życzono im bezpiecznej podróży, a lekka łódź sprawnie wypłynęła z małej zatoczki.

Pogoda była piękna, morze spokojne, a pływ¹ korzystny. Siadając jeden przed drugim, każdy w wąskim otworze, dwaj bracia na zmianę pracowali pagajem² i szybko oddalili się od Felsenheimu. Ponieważ prąd wody skręcał nieco ku wschodowi, kajak musiał się zbliżyć do przeciwległego brzegu, przepływając przez wąski przesmyk, który łączył Zatokę Ocalenia z otwartym morzem.

W tym czasie Fritz miał dwadzieścia pięć lat. Był najstarszym synem Zermattów, sprawnym, energicznym mężczyzną, biegłym we wszystkich ćwiczeniach fizycznych, niestrudzonym piechurym i nieustraszonym myśliwym. Jego nieco gwałtowny charakter złagodniał. Bracia nie cierpieli już, jak to bywało w przeszłości, z powodu jego żywiołowości, która często przysparzała mu napomnień ze strony ojca i matki. Poza tym inne uczucie przyczyniło się do zmiany na lepsze jego naturalnych skłonności.

Faktycznie, nie mógł bowiem zapomnieć o dziewczynie, którą przywiózł z Dymiącej Skały, a Jenny Montrose nie mogła zapomnieć, że zawdzięczała mu swoje ocalenie.

Jenny była urocza ze swoimi blond włosami opadającymi w jedwabistych puklach, giętką talią, drobnymi dłońmi, świeżością cery, którą można było rozpoznać pod opalenizną na jej twarzy. Wchodząc do tej uczciwej i pracowitej rodziny, wniosła do niej to, czego do tej pory brakowało – wesołość w domu, i stała się dobrym duchem domowego ogniska.

Jednak jeśli Ernest, Jack i François widzieli w tej miłej osobce tylko siostrę, to czy tak samo było z Fritzem...? Czy to samo uczucie wywoływało bicie jego serca...? A czy Jenny nie czuła czegoś więcej niż przyjaźń do dzielnego młodzieńca, który przyszedł jej na

¹ *Pływy morskie* (przyływ i odpływ) – regularnie powtarzające się podnoszenie i opadanie poziomu wody w oceanie; wywołuje je zjawisko pływowe, którego przyczyną są siły grawitacyjne Księżyca i Słońca.

² *Pagaj* – krótkie wiosło z jednym piórem, trzymane oburącz, używane bez korzystania z dulki.

ratunek...? Minęły prawie dwa lata od tego wzruszającego incydentu na Dymiącej Skale... Fritz nie był w stanie żyć w pobliżu Jenny, nie zakochując się w niej... Jakże zatem często ojciec i matka rozmawiali o tym, co czeka ich w przyszłości w tym względzie!

Jeśli chodzi o Jacka, to jeśli jego charakter jakoś się zmienił, to polegało to na zwiększeniu jego naturalnej skłonności do wszelkich ćwiczeń wymagających siły, odwagi i zręczności, w związku z czym nie miał teraz czego zazdrościć Fritzowi. Miał wówczas dwadzieścia jeden lat, był średniego wzrostu, dobrze zbudowany, nadal był dobrodusznym, wesołym, miłym, zabawnym chłopcem, a także życzliwym, uczynnym, oddanym, który nigdy nie sprawiał rodzicom kłopotów. Nie omieszkął od czasu do czasu dokuczyć swoim braciom, lecz oni chętnie mu to wybacжали. Czyż nie był najlepszym towarzyszem, jakiego można było spotkać?

Tymczasem kajak mknął jak strzała po powierzchni wód. Jeśli Fritz nie postawił małego żagla, który rozpiął przy sprzyjającym wietrze, to dlatego, że bryza¹ wiała od morza. W drodze powrotnej maszt zostałby postawiony i nie byłoby konieczne użycie pagajów, aby dotrzeć do ujścia Potoku Szakali.

Nic nie przykuło uwagi obu braci podczas tej krótkiej przeprawy przez trzy czwarte ligi. Po stronie wschodniej wybrzeże było jałowe i puste, jedynie z ciągiem żółtawych wydm piaskowych. Po drugiej stronie zielony pas wybrzeża rozciągał się od ujścia Potoku Szakali do Potoku Flamingów, a dalej aż do Przylądka Straconej Nadziei.

– Stanowczo nasza Nowa Szwajcaria nie leży na trasie statków – powiedział Fritz – i ta okolica Oceanu Indyjskiego jest bardzo mało uczęszczana...

– Ech...! – odparł Jack. – Doprawdy nie chcę, żeby nasza Nowa Szwajcaria została odkryta...! Statek, który by do niej przybił, pospieszyłby się z wzięciem jej w swe posiadanie...! A ponieważ jest pewne, że nie przybędzie pod flagą szwajcarską, gdyż ta nie podróżuje po morzach, narazilibyśmy się na ryzyko, że nie będziemy się już czuli jak u siebie...

¹ *Bryza* – wiatr poranny lub wieczorny powstający wskutek nierównomiernego nagrzewania się powierzchni lądu i morza; w nocy wieje znad lądu, w dzień znad morza.



Fritz i Jack

– Ale przyszłość... Jack... przyszłość? – zauważył Fritz.

– Przyszłość...? – odparł Jack. – Przyszłość będzie kontynuacją terażniejszości... a jeśli nie jesteście zadowoleni...

– My... może... – powiedział Fritz. – Jednak zapomniałeś o Jenny... O jej ojcu, który wierzy, że zginęła podczas katastrofy „Dorcasa”... Czyż nie musi z całej duszy pragnąć, by ją do siebie sprowadzić... Ona wie, że jest w Anglii, ale jak ma do niego dołączyć, jeśli któregoś dnia nie przyplynie tu jakiś statek...

– To prawda – odparł Jack z uśmiechem, ponieważ widział, co się działo w sercu jego brata.

Po czterdziestu minutach przeprawy kajak zbliżył się do niskich skał Wysepki Rekina.

Pierwszym zadaniem Fritza i Jacka było obejrzenie jej wewnątrz, a następnie obejście dookoła. Chodziło o sprawdzenie stanu plantacji, które kilka lat temu zostały założone wokół pagórka z baterią dział.

Plantacje te były bardzo narażone na działanie północnych i północno-wschodnich wiatrów, które najpierw chłostały wysepkę, a następnie wpadały przez wąski przesmyk do Zatoki Ocalenia niczym w lejek. W tym miejscu formowały się nawet bardzo gwałtowne wiry atmosferyczne, które już nie raz zerwały dach szopy, w której znajdowały się dwie armaty.

Na szczęście plantacje zbyt nie ucierpiały. Tylko kilka drzew w północnej części leżało na brzegu, więc trzeba je było wyciąć, by w ten sposób zaopatrzyć Felsenheim.

Co do zagród, w których przebywały antylopy, to były tak solidnie zbudowane, że Fritz i Jack nie zauważyli żadnych uszkodzeń. Zwierzęta miały pod dostatkiem trawy, którą żywiły się przez cały rok. Stado liczyło obecnie około pięćdziesięciu sztuk, a liczba ta miała się jeszcze zwiększyć.

– Co zrobimy z tymi wszystkimi zwierzętami...? – zapytał Fritz, widząc wdzięczne przeżuwacze hasające między żywopłotami zagród.

– Sprzedamy je... – odpowiedział Jack.

– Przyznajesz więc, że pewnego dnia pojawią się statki, którym będzie można je sprzedać...? – zapytał Fritz.

– Bynajmniej – odpowiedział Jack – a kiedy będziemy je sprzedawać, to na wolnym rynku w Nowej Szwajcarii...

– Wolny rynek, Jack...! Mówisz tak, jakby czas, kiedy Nowa Szwajcaria będzie miała wolny rynek, był już niedaleki...

– Bez wątpienia, Fritz, ponieważ będą na niej wsie, miasta, miasteczka, a nawet stolica, którą oczywiście będzie Felsenheim...

– A kiedy to nastąpi...?

– Gdy okręgi Nowej Szwajcarii będą liczyły po kilka tysięcy mieszkańców...

– Cudzoziemców...?

– Nie, Fritz, nie...! – odparł Jack. – Szwajcarów, tylko Szwajcarów... Nasz kraj pochodzenia jest wystarczająco ludny, aby wysłać do nas kilkaset rodzin...

– Ale nigdy nie miał kolonii i wątpię, czy kiedykolwiek będzie je miał, Jack...

– No cóż, Fritz... to przynajmniej będzie miał jedną...

– Hm, Jack, nasi obywatele nie wydają się wykazywać wielkiej chęci do emigracji.

– A co myśmy zrobili...? – zawołał Jack. – Czyż nie naszła nas chęćka na kolonizację... nie bez pewnych korzyści...?

– Bo zostaliśmy do tego zmuszeni – odpowiedział Fritz. – Poza tym, jeśli Nowa Szwajcaria zostanie kiedykolwiek zaludniona, bardzo się obawiam, że nie będzie już uzasadniała swojej nazwy, a większość jej mieszkańców będzie pochodzenia anglosaskiego!

Fritz miał rację i Jack rozumiał go tak dobrze, że nie mógł się powstrzymać od zrobienia grymasu.

W tym czasie Wielka Brytania odnosiła największe sukcesy spośród wszystkich państw europejskich w rozszerzaniu swojego imperium kolonialnego. Stopniowo Ocean Indyjski obdarowywał ją nowymi posiadłościami. Prawdopodobnie więc, gdyby w zasięgu wzroku pojawił się jakiś statek, nosiłby na gaflu¹ brytyjską banderę, jego kapitan

¹ *Gafel* – ruchome drzewce, zwykle stawiane i opuszczane razem z żaglem, służące do mocowania górnej krawędzi (liku) żagli gaflowych; przy postawionym żaglu gafel jest ustawiony ukośnie do masztu; banderę umieszcza się właściwie pod pikiem, czyli wolnym końcem gafla.

objąłby wyspę w posiadanie i wywiesiłby brytyjskie barwy na wzgórzu Prospect Hill.

Po zakończeniu wizytacji wysepki obaj bracia wspięli się na pagórek i dotarli do szopy z armatami.

Zatrzymawszy się na skraju górnego płaskowyżu, spojrzeli przez lunetę na rozległą przestrzeń morską między Przylądkiem Straconej Nadziei a przylądkiem zamykającym od wschodu Zatokę Ocalenia.

Okolica była ciągle pusta. Nic nie było widać aż po krańcową linię między niebem a wodą, z wyjątkiem rafy położonej półtorej ligi na północny wschód, na której osiadł „Landlord”¹.

Gdy Fritz i Jack spojrzeli w stronę Przylądka Straconej Nadziei, zobaczyli między drzewami wzgórza belweder² willi Prospect Hill. Ten letni dom stał na swoim miejscu – co uspokoiłoby pana Zermatta, który obawiał się zawsze, że zostanie zniszczony przez nawałnice w zimowej porze roku.

Dwaj bracia weszli do szopy, którą burze oszczędziły, chociaż dwa i pół miesiąca zimy bardzo często zakłócały huragany i nawałnice.

W tej chwili chodziło o wciągnięcie na maszt wkopany przy szopie biało-czerwonej flagi, która miała powiewać do końca jesieni, i powitanie jej dwoma corocznymi wystrzałami armatnimi.

Podczas gdy Jack był zajęty wyjmowaniem flagi z futerału i mocowaniem jej na rogach do fału³ masztu, Fritz oglądał dwie karonady⁴ nastawione w stronę morza. Były w dobrym stanie i należało je tylko nabić. Aby zaoszczędzić prochu, Fritz, jak to zwykle robił, użył jako przybitki zmoczonej ziemi, co zwiększyło natężenie wyładowania. Następnie włożył do lufy lont, który miał służyć do przekazania ognia w chwili, gdy flaga podniesie się na szczyt masztu.

Było wpół do ósmej rano. Niebo, wolne od pierwszych mgieł świtu, ukazało się w całej swej czystości. Na zachodzie jednak podnosiło

¹ *Landlord* (ang.) – ziemianin, dziedzic.

² *Belweder* – tu: nadbudówka nad najwyższą kondygnacją pałacu, zwykle z tarasem.

³ *Fał* – lina służąca do podnoszenia i opuszczania żagli lub ruchomych części omasztowania.

⁴ *Karonada* – krótkolufowe działo okrętowe z XVIII i XIX wieku, strzelające pociskami odłamkowymi o masie 12-15 kg i przeznaczone do zadawania nieprzyjacielowi silnych ciosów z małej odległości



– Posłuchajmy! – odparł Jack, zaledwie mogąc oddychać.

się kilka kłębow chmur. Wiatr wykazywał tendencję do słabnięcia. Rozświetloną promieniami słońca zatokę miała właśnie ogarnąć martwa cisza.

Gdy tylko skończył, Fritz zapytał brata, czy jest gotowy.

– Kiedy zechcesz, Fritz – odpowiedział Jack, upewniając się, że fał będzie się przesuwiał bez zahaczenia o dach.

– Pierwszy strzał... ognia...! Drugi strzał... ognia...! – krzyczał Fritz, który poważnie traktował swoją rolę artylerzysty.

Dwa strzały rozległy się jeden po drugim, a biało-czerwona etamina¹ rozwijała się pod podmuchami bryzy.

Fritz zajął się ponownym nabiciem dwóch armat. Ale gdy tylko wprowadził nabój w drugą, nagle się wyprostował...

Do jego uszu dobiegł odgłos dalekiej detonacji.

Natychmiast wraz z Jackiem wybiegli z szopy.

– Wystrzał armatni! – zawołał Jack.

– Nie... – powiedział Fritz – to niemożliwe... zdawało się nam...

– Posłuchajmy! – odparł Jack, zaledwie mogąc oddychać.

W powietrzu rozległ się drugi huk, a po minucie przerwy rozbrzmiał trzeci.

– Tak, tak... to na pewno są strzały armatnie – powtarzał Jack.

– I dobiegają ze wschodu...! – dodał Fritz.

Czyżby jakiś statek przepływający na wysokości Nowej Szwajcarii odpowiedział na podwójną salwę z Wysepki Rekina i czy ten statek obrał kierunek na Zatokę Ocalenia...?



¹ *Etamina* – lekka, przejrzysta tkanina z bawełny albo jedwabiu, o rzadkim splocie.

Rozdział II

Powrót kajaka – Wywarte wrażenie – Podjęcie decyzji – Trzy dni burzy – Opłynięcie przylądka na wschodzie – Statek na kotwicy

Gdy tylko rozległa się podwójna detonacja baterii na Wysepce Rekina, echo z Felsenheimu odbijało ją od skały do skały. W tym momencie państwo Zermatt, Jenny, Ernest i François, biegnąc na wybrzeże, mogli zobaczyć biały dym z dwóch armat, powoli pełznący w kierunku Falkenhorstu. Machając chusteczkami, odpowiadali okrzykiem hurra!, bez wątpienia mniej hałaśliwym, ale płynącym z serca.

Potem każdy z nich przysposabiał się do wznowienia swoich zajęć, kiedy Jenny, patrząc przez lornetkę w kierunku wysepki, powiedziała:

– Oto Fritz i Jack już wracają...

– Tak szybko...? – zapytał Ernest. – Ledwo zdążyli ponownie nabić karonady... Skąd ten pośpiech, by do nas wrócić...?

– Rzeczywiście, wygląda na to, że się spieszą – odpowiedział pan Zermatt.

Nie było wątpiwości, że ruchomy punkt, który przez lornetkę można było dostrzec nieco na prawo od wysepki, mógł być tylko lekką łodzią posuwającą się szybko pod działaniem pagajów.

– To jest co najmniej osobliwe...! – zauważyła pani Zermatt. – Czy mają dla nas jakieś wiadomości... jakieś ważne nowiny...?

– Myślę, że tak – odparła Jenny.

Czy były to dobre, czy złe wiadomości...? Każdy zadawał sobie to pytanie, nie próbując go rozstrzygać.

Oczy wszystkich zwrócone były na kajak, który rósł w oczach. W ciągu kwadransa był w połowie drogi między Wysepką Rekina a ujściem Potoku Szakali. Fritz nie postawił małego żagla, bryza bowiem słabła i tylko dzięki manewrowaniu pagajami obaj bracia

płynęli szybciej niż wiatr po ledwie pomarszczonych wodach Zatoki Ocalenia.

Wtedy panu Zermattowi przyszło do głowy, żeby sprawdzić, czy ten pospieszny powrót nie jest przypadkiem ucieczką, czy na zakręcie wysepki nie pojawi się jakaś piroga dzikich ścigających kajak, albo nawet piracka szalupa z otwartego morza... Jednak z nikim się nie podzielił tą bardzo niepokojącą myślą. Podążając za Betsie, Jenny, Ernestem i François, szedł na koniec zatoczki, aby przepytać Fritza i Jacka, gdy tylko przybiją do brzegu.

Po kwadransie kajak zatrzymał się przy pierwszych skałach, które służyły za pomost na końcu zatoczki.

– Co się stało...? – zapytał pan Zermatt.

Fritz i Jack wyskoczyli na brzeg. Zdyszani, z twarzami zlanymi potem, z rękami obolałymi ze zmęczenia, początkowo mogli odpowiadać tylko gestami, wskazując wybrzeże na wschód od Zatoki Ocalenia.

– Co się stało...? – zapytał François, chwytając brata za rękę.

– Nie słyszeliście...? – zapytał wreszcie Fritz, kiedy już odyskał mowę.

– Tak... dwa strzały z armaty, które oddaliście z baterii na Wysepce Rekina...? – rzekł Ernest.

– Nie... – odparł Jack – nie nasze... te, które odpowiedziały...

– Co...? – zawołał pan Zermatt. – Wystrzały...?

– Czy to możliwe... czy to możliwe?! – powtarzała pani Zermatt.

Jenny podeszła do Fritza i blada ze wzruszenia zapytała:

– Słyszałeś wystrzały z tamtej strony...?

– Tak, Jenny – odrzekł Fritz. – Padły trzy strzały w regularnych odstępach czasu.

Fritz mówił tak stanowczym głosem, że nie można było uwierzyć w pomyłkę z jego strony. Ponadto Jack potwierdził słowa brata, dodając:

– Nie ma wątpliwości, że jakiś statek znajduje się w pobliżu Nowej Szwajcarii i że jego uwagę przyciągnęły wystrzały z naszych dwóch karonad...

– Statek... statek...! – szeptała Jenny.

– I to na pewno było od strony wschodniej...? – zapytał natarczywie pan Zermatt.

– Tak... od wschodniej – powiedział Fritz – i wnoszę z tego, że statek musi być oddalony od Zatoki Ocalenia o jedną lub dwie ligi w stronę otwartego morza.

Było to prawdopodobne, ale, jak wiadomo, nie przeprowadzono jeszcze żadnego rozpoznania na tym wybrzeżu.

Po chwili zaskoczenia, można by rzec: zdumienia, łatwo sobie wyobrazić, co czuli gospodarze Nowej Szwajcarii. Statek – z pewnością był w zasięgu wzroku – statek, którego detonacje zostały przyniesione przez bryzę na Wysepkę Rekina...! Czy nie było to coś w rodzaju łącznika, dzięki któremu ta nieznana ziemia, na której od jedenastu lat żyli rozbitkowie z „Landlorda”, na nowo zostanie połączona z resztą zamieszkanego świata...? Armata jest wielkim głosem statków, który pokonuje duże odległości, a ten głos był właśnie słyszany po raz pierwszy od czasu, gdy bateria na Wysepce Rekina witała odejście i powrót cieplej pory roku...! Wydawało się, że ta ewentualność, na którą już zupełnie nie liczyli, zaskoczyła pana Zermatta i jego rodzinę, jakby ten statek odezwał się w języku, którego już nie rozumieli.

Tymczasem wzięli się w garść i myśleli tylko o dobrych stronach tej nowej sytuacji. Odległy huk, który do nich dotarł, nie był już jednym z tych odgłosów natury, do których od tak dawna byli przyzwyczajeni: trzaskania drzew pod wpływem gwałtownych podmuchów wiatru, rozbijającego się i huczącego morza, błyskawic podczas potężnych burz w strefie międzyzwrotnikowej... Nie! Ten huk pochodził z ludzkiej ręki...! Kapitan i załoga przepływającego w pobliżu statku nie mogli już sądzić, że ten ląd jest niezamieszkaany... Gdyby wyładowali w zatoce, ich bandera pozdrowiłby flagę Nowej Szwajcarii!

Wszyscy więc widzieli w tym wydarzeniu pewność bliskiego wybawienia. Pani Zermatt poczuła się uwolniona od obaw o przeszłość... Jenny pomyślała o swoim ojcu, którego nie miała nadziei już kiedykolwiek zobaczyć... Pan Zermatt i jego synowie o znalezieniu się pośród swoich bliźnich... A potem wszyscy rzucili się sobie w objęcia.

Tak więc pierwsze wrażenie, jakie odniosła ta rodzina, było takie, że oto realizują się jej najskrytsze pragnienia. Biorąc pod uwagę tylko radosną stronę tego wydarzenia, wszyscy byli pełni nadziei i wdzięczności dla Nieba.

– Przede wszystkim musimy dziękować Bogu, którego opieka nigdy nas nie zawiodła – powiedział François. – To do Niego powinny się wznosić nasze podziękowania, to do Niego powinny być kierowane nasze modlitwy!

Było rzeczą naturalną, że François wypowiedział się w ten sposób. Wiadomo, jak silne uczucia religijne żywił od zawsze, a z wiekiem jeszcze bardziej się one pogłębiły. Był prawym, spokojnym charakterem, pełnym sympatii dla bliskich, czyli wszystkiego, co do tej pory było dla niego człowieczeństwem. Choć najmłodszy z braci, był jednak ich doradcą w rzadkich sporach, które pojawiały się między członkami tej zgranej rodziny. Jakie byłoby jego powołanie, gdyby żył w swojej ojczyźnie...? Niewątpliwie w medycynie, w prawie, w kapłaństwie szukałby zaspokojenia tej potrzeby poświęcania się, która leżała u podstaw jego życia, podobnie jak aktywność fizyczna Fritza i Jacka czy aktywność intelektualna Ernesta. Skierował do Opatrzności żarliwą modlitwę, do której przyłączyli się ojciec, matka, bracia i Jenny.

W obecnych okolicznościach należało działać bez straty czasu. Najbardziej prawdopodobną hipotezą było to, że ten statek, którego obecność nie budziła już wątpliwości, musiał być zakotwiczony w jednej z zatoczek na wybrzeżu, a nie tylko przepływał obok Nowej Szwajcarii. Może detonacje, na które zareagował, skłonią go do rozpoznania tej ziemi? Może nawet będzie chciał wypłynąć do Zatoki Ocalenia, po opłynięciu przylądka, który zamykał ją na wschodzie...?

Tak właśnie argumentował Fritz, który zakończył swój wywód słowami:

– Jedyną rzeczą, którą należy zrobić, to wypłynąć naprzeciw temu statkowi, podążając wzdłuż wschodniego wybrzeża, które bez wątpienia biegnie z północy na południe...

– Kto wie, czy nie jest już za późno... – powiedziała Jenny.

– Nie sądzę – odparł Ernest. – To niemożliwe, aby kapitan tego statku, kimkolwiek jest, nie próbował się dowiedzieć...

– To wszystko... zbędne słowa...! – zawołał Jack. – Ruszajmy...

– Daj nam czas na przygotowanie łodzi... – zauważył pan Zermatt.

– To by trwało zbyt długo – powiedział Fritz. – Wystarczy kajak...

– Zgoda! – rzekł pan Zermatt, a następnie dodał: – Najważniejsze to postępować z daleko posuniętą ostrożnością... To, aby na wschodnim brzegu wylądowali dzicy malajscy lub australijscy, wydaje mi się nieprawdopodobne... ale Ocean Indyjski jest nawiedzany przez piratów i z ich strony można by się obawiać wszystkiego...

– Tak... – dodała pani Zermatt – i lepiej, żeby ten statek odpłynął, jeśli...

– Sam popłynę – zadeklarował pan Zermatt – zanim bowiem porozumiemy się z tymi obcymi, musimy wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

To był mądry plan. Nie pozostawało nic innego, jak tylko go zrealizować. Niestety, we wczesnych godzinach porannych nastąpiła zmiana pogody, która okazała się prawdziwym nieszczęściem. Wiatr, który osłabł, zmienił kierunek na zachodni i wyraźnie się wzmaczał. Kajak nie mógł się zapuścić w głąb zatoki, nawet gdyby chodziło tylko o dotarcie do Wysepki Rekina. Niebo pokrywało się chmurami wznoszącymi się od zachodu – tymi burzowymi chmurami, którym żeglarz nigdy nie ufa.

Jeśli jednak w braku możliwości użycia kajaka trzeba by było stracić godzinę lub dwie na przygotowania, to czy nie dałoby się użyć szalupy, chociaż za wąskim przesmykiem morze byłoby mocno wzburzone...?

Ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu pan Zermatt musiał się poddać. Przed południem prawdziwy sztorm podniósł wody Zatoki Ocalenia i uczynił ją niezeglowną. Choćby ta nagła zmiana pogody miała nie potrwać długo, to jednak pokrzyżowała wszelkie plany, a jeśli gdyby sztorm trwał dwadzieścia cztery godziny, czy nie byłoby już za późno na poszukiwanie statku...? Poza tym, jeśli kotwicowisko nie dawałoby mu bezpiecznego schronienia, bez wątpienia by je opu-



Wszyscy czterej posunęli się do ujścia Potoku Szakali, by się upewnić, że szalupa i pinasa trzymają się mocno na swoich cumach.

ścił, a przy zachodnich wiatrach wkrótce straciłby z oczu wybrzeże Nowej Szwajcarii.

Z drugiej strony Ernest myślał tak: być może statek będzie próbował się schronić w Zatoce Ocalenia, gdyby okrążył przylądek od wschodu...

– Faktycznie, jest to możliwe – odpowiedział pan Zermatt – a także pożądanę, pod warunkiem, że nie będziemy mieli do czynienia z piratami...

– Będziemy czuwać, ojcze – odparł François. – Będziemy czuwać przez cały dzień... całą noc...

– Ponadto, gdybyśmy zdołali się dostać do Prospect Hill lub tylko do Falkenhorstu – dodał Jack – moglibyśmy lepiej obserwować morze!

To było oczywiste, ale nie można było o tym myśleć. Po południu pogoda się pogorszyła. Wściekłość podmuchów wiatru rosła. Deszcz padał tak obficie, że wody Potoku Szakali wystąpiły z brzegów, a Most Rodzinny omal nie został porwany. Pan Zermatt i jego synowie pozostawali w pogotowiu i mieli wiele do roboty, aby zapobiec wtargnięciu wody do folwarku Felsenheim. Betsie i Jenny nie mogły wyjść na zewnątrz. Nigdy jeszcze dzień nie upłynął tak smutno i czyż nie było zbyt pewne, że jeśli statek odpłynie, to już nie wróci w te strony...?!

Wraz z zapadnięciem nocy gwałtowność burzy wzrosła. Na polecenie pana Zermatta, którego dzieci zmusiły do odpoczynku, Fritz, Ernest, Jack i François zmieniali się aż do świtu. Z galerii, której nie opuszczali, widzieli morze aż do Wysepki Rekina. Gdyby u wejścia do przesmyku pojawiły się światła statku, zobaczyliby je; gdyby rozbrzmiała detonacja, usłyszeliby ją mimo bałwanów, które z prężnym hukiem rozbiły się o skały zatoczki. Gdy wichura nieco ucichła, owinięci w nagumowane kapoty, wszyscy czterej posunęli się do ujścia Potoku Szakali, by się upewnić, że szalupa i pinasa trzymają się mocno na swoich cumach.

Nawałnica trwała czterdzieści osiem godzin. W tym czasie pan Zermatt i jego synowie ledwo zdołali dojść do połowy drogi do Falkenhorstu, aby objąć spojrzeniem szerszy horyzont. Morze, całe białe od piany rozbijających się fal, było puste. Prawdę mówiąc, żaden statek nie odważyłby się podejść tak blisko lądu podczas tego sztormu.

Państwo Zermatt już pożegnali swoje nadzieje. Ernest, Jack i François, przyzwyczajeni od młodości do takiej egzystencji, nie przejmowali się straconą szansą, ale Fritz żałował jej dla nich, a raczej dla Jenny.

Jeśli bowiem statek odpłynął, jeśli nie powróci w te strony, jakież byłoby to rozczarowanie dla córki pułkownika Montrose'a...! Oddalała się od niej możliwość powrotu do ojca... Ile czasu upłynie, zanim ponownie zjawi się okazja powrotu do Europy, a jeśli nawet już się taka przydarzy...?

– Miejmy nadzieję...! Nie traćmy nadziei...! – powtarzał Fritz, przytłoczony bólem Jenny. – Ten statek... lub inny... powróci, bo teraz będzie znane położenie Nowej Szwajcarii!

W nocy z jedenastego na dwunasty października, kiedy wiatr zaczął wiać z północy, skończyła się zła pogoda. W głębi Zatoki Oczenia morze szybko opadło i od świtu fale nie przetaczały się już po wybrzeżu Felsenheimu.

Cała rodzina wyszła właśnie z zagrody i skierowała spojrzenia w stronę morza.

– Płynmy na Wysepkę Rekina – zaproponował natychmiast Fritz – gdyż nie ma już ryzyka dla kajaka...

– Co będziecie tam robić? – zapytała pani Zermatt.

– Być może statek nadal stoi pod osłoną wybrzeża... a nawet jeśli sztorm wypchnął go w morze, może powrócił...? Oddajmy kilka strzałów z armat, a jeśli otrzymamy odpowiedź...

– Tak... Fritz... tak...! – powtarzała Jenny, która już chciałaby się znaleźć na wysepce.

– Fritz ma rację – stwierdził pan Zermatt. – Nie możemy niczego zaniedbać... Jeśli statek tam jest, usłszy nas i da o sobie znać!

Kajak był gotowy w ciągu kilku minut. Kiedy jednak Fritz chciał zająć w nim miejsce, pan Zermatt poradził mu, żeby został w Felsenheimie z matką, braćmi i Jenny. Jemu miał towarzyszyć Jack. Zabierał ze sobą flagę, aby wskazać, czy są jakieś dobre wieści, czy też groziłoby im jakieś niebezpieczeństwo. W tym drugim przypadku po trzykrotnym potrząśnięciu wyrzuci flagę do morza, a wtedy Fritz ma zabrać całą rodzinę do Falkenhorstu. Pan Zermatt i Jack pospiesz-

nie by do nich dołączyli, a w razie potrzeby schroniliby się w folwarkach Waldegg lub Zuckertop, albo nawet w ustroniu Eberfurtu. Z drugiej strony, gdyby pan Zermatt po dwukrotnym machnięciu flagą umieścił ją przy baterii, to znaczyłoby, że nie ma powodu do obaw, a Fritz czekałby na jego powrót w Felsenheimie.

Nie trzeba dodawać, że te różne sygnały można było łatwo dostrzec z ujścia Potoku Szakali, obserwując je przez lunetę.

Jack właśnie sprowadził kajak do podnóża skał i wszedł do niego razem z ojcem. Kilka kabli¹ za zatoczką falowanie morza zmniejszyło się do łagodnego chłupotania. Popychana pagajami, łódka szybko pędziła w kierunku Wysepki Rekina.

Serce pana Zermatta mocno biło, gdy dotarł do cypla wysepki, a z jakim pośpiechem on i Jack wspięli się na pagórek!

Gdy doszli do szopy, zatrzymali się. Stamtąd ich spojrzenia wędrowały po rozległym horyzoncie między Przylądkiem Wschodnim a Przylądkiem Straconej Nadziei.

Na powierzchni morza, które dalej było wzburzone i ciągle puście, nie było widać żadnego żagla.

W chwili kiedy wchodzili do szopy, pan Zermatt po raz ostatni zapytał Jacka:

– Czy ty i twój brat jesteście pewni, że słyszeliście...?

– Absolutnie pewni... – odparł Jack. – To były detonacje dochodzące ze wschodu...

– Dałby Bóg! – rzekł pan Zermatt.

Ponieważ karonady zostały nabite przez Fritza, nie pozostało nic innego, jak dać ognia.

– Jack, oddasz dwa strzały w odstępach dwuminutowych, a następnie, po naładowaniu pierwszej armaty, oddasz trzeci... – polecił pan Zermatt.

– Rozumiem, ojczu – powiedział Jack. – A ty?

– Ustawię się na skraju płaskowyżu zwróconego ku wschodowi, i jeśli z tamtej strony padnie jakiś strzał, będę miał dobrą pozycję, by go usłyszeć.

¹ *Kabel* – jednostka długości używana w żegludze, równa 1/10 mili morskiej, czyli 185,2 m; we Francji 195 m.

Dodatkowo wiatr, choć był bardzo słaby, zmienił się na północny, co było sprzyjającą okolicznością. Wystrzały artyleryjskie oddawane z zachodu i wschodu powinny być dobrze słyszalne, jeśli odległość nie będzie przekraczała półtorej ligi.

Pan Zermatt poszedł ustawić się z boku szopy.

Następnie w ustalonych odstępach czasu Jack trzykrotnie dał ognia z baterii. Potem natychmiast podbiegł do ojca i obaj stali bez ruchu z uszami skierowanymi na wschód.

Pierwszy huk dość wyraźnie dotarł aż do Wysepki Rekina.

– Ojcze! – zawołał Jack. – Statek wciąż tam jest...!

– Słuchajmy dalej! – odparł pan Zermatt.

Po pierwszym wybuchu nastąpiło sześć kolejnych, w regularnych odstępach czasu. Tak więc statek nie tylko odpowiedział, ale zdawał się mówić, że nie pozostawi tak sprawy.

W tym momencie pan Zermatt, pomachawszy flagą, umieścił ją przy baterii.

Jeśli huk dział statku nie dotarł do Felsenheimu, to przynajmniej dowiedzą się tam, że nie należy się obawiać żadnego niebezpieczeństwa.

Pół godziny później, kiedy kajak wrócił do zatoczki, Jack zawołał:

– Siedem strzałów...! Oddano siedem strzałów...

– Niech Niebo będzie błogosławione siedem razy! – odpowiedział François.

Ogarnięta wielkim wzruszeniem Jenny chwyciła Fritza za rękę, a następnie rzuciła się w ramiona pani Zermatt, która otarła jej łzy, obsypując dziewczynę pocałunkami.

Nie było więc wątpliwości co do obecności statku, skoro właśnie odpowiedział baterii z Wysepki Rekina. Z tego czy innego powodu musiał spoczywać w głębi jednej z zatok na wschodnim wybrzeżu i być może nie został zmuszony do opuszczenia jej podczas sztormu... Teraz nie odpłynie bez nawiązania bezpośredniego kontaktu z mieszkańcami nieznanego lądu... Czy najlepiej było nie czekać, aż znajdzie się w pobliżu zatoki...?

– Nie! – powiedział Jack. – Chodźmy... chodźmy natychmiast...!

Jednak roztropny Ernest poczynił pewne refleksje, które pan Zermatt zaakceptował. Skąd można było wiedzieć, do jakiej narodowo-

ści należał ten statek...? Czy nie było możliwe, że opanowali go piraci, których, jak wiadomo, było wówczas wielu w tych rejonach Oceanu Indyjskiego! Kto wie nawet, czy nie wpadł w ręce tych groźnych ludzi...? W takim przypadku, na jakie niebezpieczeństwa byłiby narażeni pan Zermatt i jego rodzina...?

Wszystkie te pytania pojawiły się zupełnie naturalny sposób.

– No cóż – powiedział Fritz – trzeba jak najszybciej podjąć jakąś decyzję...

– Tak... koniecznie...! – odezwała się Jenny, która nie mogła powstrzymać zniecierpliwienia.

– Wsiądę do kajaka – oświadczył Fritz – a ponieważ stan morza na to pozwala, bez trudu opłynę Przylądek Wschodni...

– Niech tak będzie – odpowiedział pan Zermatt – nie możemy bowiem pozostawać w stanie niepewności... Zanim ten statek tu przybije, trzeba się upewnić... Fritz, płynę z tobą...

Wtedy wtrącił się Jack.

– Ojcie – powiedział, idąc z pagajem – jestem do tego przyzwyczajony. Samo dotarcie do przylądka zajmie nam ponad dwie godziny, a potem może być jeszcze długa droga do kotwiczowiska statku... To ja powinienem towarzyszyć Fritzowi...

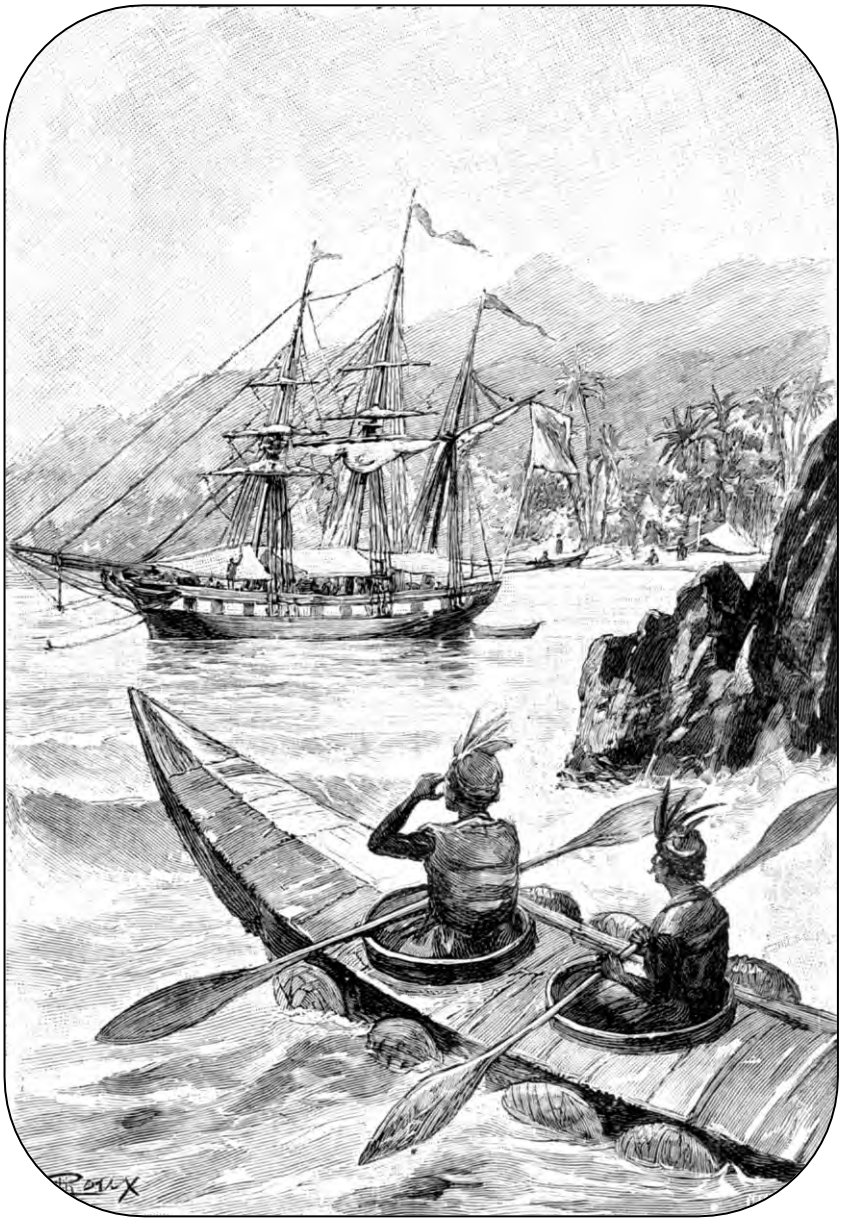
– Tak będzie lepiej – dodał ten ostatni.

Pan Zermatt się zawahał. Wdawało mu się, że jego udział w tej operacji, która musiała być prowadzona z najwyższą ostrożnością, jest niezbędny.

– Tak, niech popłyną Fritz i Jack. Możemy na nich polegać – stwierdziła pani Zermatt.

Pan Zermatt ustąpił, lecz dał obu braciom niezbędne zalecenia. Po okrążeniu przylądka mieli płynąć wzdłuż lądu, prześlizgnąć się między skałami tej części wybrzeża, zobaczyć statek wcześniej, nim sami zostaną zauważeni, upewnić się tylko co do jego położenia, nie wchodzić na pokład i natychmiast wrócić do Felsenheimu. Wtedy pan Zermatt zdecyduje, co należy czynić. Jeśliby Fritz i Jack mogli uniknąć, by ich zauważono, byłoby to pod każdym względem lepsze.

– Być może – zauważył Ernest – dobrze by było, gdyby Fritz i Jack zostali wzięci za dzikich. Dlatego, ubrawszy się według ich mody, nie mieliby poczernić sobie twarzy, ramion i dłoni, jak to zrobił Fritz,



Była to angielska korweta z dziesięcioma działami.

kiedy zabrał Jenny do Zatoki Perel? Załoga statku byłaby mniej zaskoczona, gdyby spotkała czarnych na tym lądzie Oceanu Indyjskiego...

Rada Ernesta była dobra. Dwaj bracia przebrali się za tubylców z Nikobarów¹, a następnie pokryli twarze i ramiona warstwą sadzy. Po wykonaniu tych czynności wsiedli do kajaka, który pół godziny później był już poza wąskim przesmykiem.

Nie trzeba dodawać, że państwo Zermatt, Jenny, Ernest i François śledzili go wzrokiem tak długo, jak długo był widoczny, i wrócili do Felsenheimu dopiero wtedy, gdy zobaczyli, że opuszcza Zatokę Ocalenia.

Gdy dotarli do Wysepki Rekina, Fritz manewrował tak, by zbliżyć się do przeciwległego brzegu. W przypadku, gdyby spuszczone ze statku łódź minęła skrajny punkt wysepki, kajak mógłby się ukryć za rafami, a oni mogliby nadal obserwować.

Dotarcie do przylądka zajęło nie mniej niż dwie godziny, ponieważ odległość wynosiła ponad dwie ligi. Przy wietrze wiejącym z północy mały żagiel nie mógł zostać użyty, ale prawdą było, że odpływ sprzyjał posuwaniu się lekkiej łodzi.

Był to pierwszy raz, kiedy wypłynięto za ten przylądek, od czasu gdy rodzina Zermattów znalazła schronienie w Zatoce Ocalenia. Jakiż to był kontrast w stosunku do Przylądka Straconej Nadziei, który leżał cztery ligi dalej na północnym zachodzie! Jakże jałowo prezentowała się ta wschodnia część Nowej Szwajcarii! Wybrzeże było usiane piaszczystymi wydiami, najeżone czarniawymi skałami, ogrodzone rafami rozciągającymi się kilkaset sążni² za przylądkiem, o który nawet przy pięknej pogodzie zawsze rozbijały się gwałtownie bałwany z otwartego morza.

Kiedy kajak opłynął ostatnie skały, przed oczyma Fritza i Jacka ukazało się wschodnie wybrzeże. Ciągnęło się prawie z północy na

¹ *Nikobary* – archipelag na Oceanie Indyjskim, między Zatoką Bengalską i Morzem Andamańskim, złożony z 22 wysp, wydłużony południkowo, należący do Indii; razem z Andamanami, od których oddziela je Kanał Dziesiątego Stopnia, tworzy terytorium związkowe Andamany i Nikobary.

² *Sażień* – miara długości równa długości rozstawionych ramion, także miara używana przy pomiarach głębokości wód; we Francji rozróżniało się sażeń (*toise*) jako miarę długości, wynoszącą 1,95 m, oraz sażeń morski, nazywany *brasse*, równający się 1,63 m; sażeń angielski (*fathom*) wynosi 1,83 m; za pomocą tych dwóch miar określano głębokość wód; J. Verne użył w tym miejscu wyrazu *toise*.

południe, ograniczając z tej strony Nową Szwajcarię. Tak więc, o ile nie była to wyspa, to właśnie od południa ta ziemia mogła się łączyć z kontynentem.

Kajak płynął wzdłuż brzegu w taki sposób, że stapał się ze skałami i trudno było go dostrzec.

W odległości jednej ligi, na końcu wąskiej zatoczki, ukazał się statek, trójmasztowiec ze zwiniętymi bramslami¹, naprawiany na tym kotwiczowisku, a na pobliskim brzegu stało kilka rozbitych namiotów.

Kajak zbliżył się na odległość sześciu kabli od statku. Skoro tylko Fritz i Jack zostali dostrzeżeni, nie mogli się pomylić co do przyjaznych znaków kierowanych do nich z pokładu. Dotarło do nich nawet kilka zdań wypowiedzianych po angielsku, i było jasne, że wzięto ich za dzikich.

Ze swojej strony nie mogli się mylić co do przynależności państwowej tej jednostki, na gaflu bezanu² powiewała bowiem brytyjska bandera. Była to angielska korweta³ z dziesięcioma działami.

Bracia nie mieliby więc problemu z nawiązaniem kontaktu z kapitanem statku.

Jack chciał to zrobić, ale Fritz się nie zgodził. Obiecał, że wróci do Felsenheimu, gdy tylko ustali położenie i przynależność państwową statku, i zamierzał dotrzymać tej obietnicy. Kajak skierował się więc ponownie na północ i po dwóch i pół godzinach żeglugi przepłynął przez przesmyk przy Zatoce Ocalenia.



¹ *Bramsel* – trzeci (też czwarty i piąty), licząc od pokładu, żagiel rejoy na maszcie, po żaglu głównym i marslu.

² *Bezanmaszt* – tylny maszt na żaglowcu wielomasztowym.

³ *Korweta* – dawna klasa niewielkich okrętów żaglowych z okresu od końca XVII do połowy XIX wieku, używanych głównie do służby zwiadowczej i zadań pomocniczych – łącznikowych, patrolowych, zaopatrzeniowych, także w ekspedycjach naukowych; początkowo jednomasztowe, od XVIII wieku – trójmasztowe, z ożaglowaniem rejoyem (typu fregata); uzbrojenie stanowiło kilkanaście niezbyt dużych dział w baterii burtowej, ustawionych na odkrytym pokładzie górnym; stosowano też na nich cięższe karonady; korwety z tego okresu miały zwykle wyporność ok. 400-600 ton.

Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!